

Sigmund A. Rolat
Jakby to było wczoraj...



Urodziłem się w Częstochowie 1 lipca wiele lat temu. Mój dziadek prowadził na Starym Rynku niewielką szkołę, w której nauka odbywała się w języku polskim. By móc uczyć żydowskie dziewczęta i chłopców po polsku, a nie po żydowsku, musiał uzyskać specjalne zezwolenie od władz. Mój dziadek był zawsze i wszędzie nauczycielem - nauczył mnie liczyć po rosyjsku do stu i podarował mi tzw. Koło Świata, dwie połączone ze sobą tekturowe tarcze, które, prawidłowo ustawione, pozwalały odczytać nazwy stolic i inne ciekawe informacje nt. wszystkich państw kuli ziemskiej. Byłem prawdopodobnie jedynym pięcioletnim chłopcem w Częstochowie, który wiedział, że Bangkok jest stolicą Syjamu, a Syjam jest monarchią.

Moi rodzice i mój starszy brat Jerzyk zginęli podczas wojny. Mój Tata i Jerzyk polegli w walce z Niemcami. Byłem jednym spośród około 30 dzieci, które przeżyły wojnę w obozie pracy niewolniczej Hasag Pelcery wyzwolonym przez Rosjan w 1945 roku.

Starsi ludzie mogliby zapewne opowiedzieć więcej o życiu Żydów Częstochowian przed wojną. Ja byłem wtedy małym chłopcem, jednakże wiele rzeczy z tego okresu pamiętam tak, jakby to było wczoraj.

Pamiętam piękne, tętniące życiem, pełne zieleni miasto. Dla mnie była to metropolia. Co prawda przed dworcem kolejowym nie stały taksówki, lecz dorożki, w mieście nie było żadnej linii tramwajowej, a jedyny autobus kursował Alejami od Nowego Rynku do Parku. Częstochowa mogła się pochwalić zaledwie kilkoma trzypiętrowymi budynkami, przy czym żaden z nich nie miał windy. Cóż to było dla mnie za przeżycie, gdy po raz pierwszy w życiu przejechałem się windą w Krakowie!

Ortodoksyjni Żydzi mieszkali głównie w rejonie ulic Nadrzecznej i Garncarskiej. Tu mieściła się przepiękna Stara Synagoga zdobiona słynnymi freskami prof. Wilenberga, tu znajdowało się wiele mniejszych świątyń i sztibu. Tutaj były liczne jesziwy i chedery. W tym rejonie Częstochowy słyszało się głównie Jidisz. Jednakże w miarę zbliżania się do Nowego Rynku, Alei i ulicy Kościuszki, coraz częściej słychać było język polski, a im młodszy byli rozmówcy, tym rzadziej mówili po żydowsku.. Jeśli chodzi o mnie, to Jidisz poznałem dopiero w Hasagu.

Mieszkaliśmy przy Alei N.M.P. nr 6, gdzie wszyscy nasi sąsiedzi, dumni ze swojej żydowskiej wiary, uważali się jednocześnie w pełni za Polaków. Czytali „Nasz Przegląd”, drukowany po polsku popularny żydowski dziennik. Ich dzieci chodziły do szkół, w których wszystkie przedmioty wykładane były w języku polskim, łącznie z religią, do której w Polsce zawsze przywiązywano wielką wagę. Podczas ważnych świąt religijnych braliśmy udział w nabożeństwach odprawianych w Nowej Synagodze, na rogu ulicy Wilsona i Garibaldiiego (obecnie jest to gmach Filharmonii Częstochowskiej). Co roku uroczyście obchodziliśmy Święto Konstytucji 3go Maja. Gdy zmarł nasz ukochany Marszałek Józef Piłsudski, Żydów Częstochowian ogarnął przejmujący smutek i żałoba.

Razem z Jerzykiem uczęszczaliśmy do Hebrajskiego Gimnazjum, które było najbardziej prestiżową żydowską szkołą w Częstochowie. Nasza szkoła znajdowała się na rogu ulic Dąbrowskiego i Raclawickiej. W 1938 roku przeprowadziliśmy się do nowego, wspaniałego budynku przy ul. Jasnogórskiej, z którego byliśmy bardzo dumni. Mój przyjaciel Eli Zborowski, który pochodzi z Żarek, miasteczka leżącego niedaleko Częstochowy, a obecnie jest przewodniczącym Międzynarodowego Stowarzyszenia Yad Vashem, powiedział mi niedawno, że za swoje największe przedwojenne osiągnięcie uważa przyjęcie go do grona uczniów Częstochowskiego Gimnazjum Żydowskiego.

Podczas okupacji niemieckiej żydowskim dzieciom zakazano chodzenia do szkoły. W naszym domu pani Madzia Horowicz zorganizowała tajne lekcje dla dziewcząt i chłopców. Mnie osobiście bardziej dotknął zakaz oglądania filmów, mój ulubiony

sposób spędzania wolnego czasu, gdyż jednym ze swoich pierwszych rozporządzeń niemiecki zarządca Częstochowy, hauptman Franke, zakazał Żydom chodzenia do kina.

Pewnego razu moja niania zabrała mnie na Jasną Górę. Najlepiej pamiętam wspinaczkę po stromych schodach biegnących wewnątrz znanej wszystkim wysokiej klasztornej wieży i to, jak w połowie jej wysokości przechodziliśmy obok ogromnego zegara z jego głośno pracującym mechanizmem i donośnym dzwonem. Dniem, który moja niania wybrała na tę ekspedycję, było święto Yom Kippur, gdy moi rodzice i Jerzyk byli w synagodze.

Elka, tak miała na imię moja niania, pochodziła z rodziny katolickiej. Była mi bezgranicznie oddana. Gdy podczas pobytu w parku klóciłem się z moim przyjacielem z dzieciństwa Romkiem Einhornem, Elka natychmiast zaczynała się spierać z jego nianią. Jeśli nasza kłótnia przechodziła w bójkę, Elka zaczynała wymieniać ciosy z jego nianią. Jednakże na ogół bawiliśmy się zgodnie i wtedy obie nianie rozmawiały ze sobą jak najlepsze przyjaciółki, którymi w istocie były. Kiedy Niemcy utworzyli w Częstochowie getto, Elka powiedziała, że nigdy nie opuści naszego mieszkania.

W noc poprzedzającą likwidację dużego getta wyszliśmy z domu, by przenocować w fabryce wujka Leona, gdyż wydawało się nam, że tam będziemy bezpieczniejsi. Przed wyjściem z mieszkania mama błagała Elkę, by natychmiast opuściła getto. Elka stanowczo odmówiła. Później dowiedziałem się, że moja niania do samego końca pozostała w naszym mieszkaniu czekając na swojego Zygmunta i że wywieziono ją do Treblinki, gdzie zginęła.

My, którzy przeżyliśmy wojnę w Częstochowie w getcie, w ukryciu, w Hasagu nosimy w sobie dręczące wspomnienia.

Pozwólcie, że podzielę się z Wami dwoma spośród tych, które pozostaną we mnie na zawsze.



Ryneczek - niewielki plac targowy u zbiegu ulic Warszawskiej, Nadrzecnej i Garncarskiej stanowił jedyne wejście do małego getta. Tutaj zbierały się co rano brygady robocze i tu, wyczerpane ciężką pracą, wracały w celu przeliczenia i zrewidowania przez Niemców z szupo i Ukraińców z pomocniczych oddziałów werkszucu, a wszystko to działo się pod nadzorem grubego hauptwachmajstra Ueberschera. Ci, którym udało się ukryć podczas i po likwidacji getta, musieli teraz zostać w jakiś sposób przeprowadzeni przez bramę na Ryneczku. I to się udawało czasami z wielkim trudem i odwagą, a zawsze z ogromnym ryzykiem. Przeszmuglowano w ten sposób kilkaset osób.

To tutaj widziałem rzeczy, których żaden 12-to letni chłopiec nie powinien nigdy oglądać.

Mieszkaliśmy razem z mamusią w pokoju przy ul. Nadrzecnej 88 w mieszkaniu, które dzieliliśmy z innymi ludźmi. Moja mama miała dużo szczęścia, gdyż udało jej się znaleźć pracę w Moebellager.

Byłem wtedy nadal małym i drobnym chłopcem. Całe dni spędzałem beczynnie w naszym pokoju przy ul. Nadrzecnej, podobnie jak inne dzieci i dorośli bez pracy i bez urzędowego prawa do życia.

By uchronić się przed ciągłymi rewizjami i selekcjami w większości domów wybudowano kryjówki, potocznie zwane bunkrami. Budynek przy ul. Nadrzecnej 88, największy na terenie małego getta, miał ich kilka. Pierwsza kryjówka, z której korzystałem, znajdowała się w dużym pokoju na drugim piętrze, gdzie przez szafę z przesuwaną tylną ścianą wchodziło się do małego sekretnego pomieszczenia. Spędzaliśmy w nim całe dni, gdy tylko pojawiała się pogłoska o organizowanej przez Niemców akcji. A takie pogłoski i wywołane nimi alarmy zdarzały się bardzo często.

Inny bunkier znajdował się w piwnicy, dokąd schodziliśmy jeszcze przed wschodem słońca, a nasi bliscy, przed pójściem do pracy, zasypywali wejście doniej od podłogi aż po sufit węglem i wszelakimi rupieciami, w ten sposób całkowicie je maskując,

by następnie, późnym wieczorem, nas wyswobodzić, nim się udusimy z braku powietrza. Bardzo nie lubiłem tego miejsca, ponieważ jedna z kobiet chroniła się tam razem ze swoim niemowlęciem, które zaczynało płakać w najbardziej niebezpiecznych chwilach. I, niestety, stało się - kryjówka ta została wykryta 4 stycznia 1943 roku z tragicznymi następstwami dla wszystkich, którzy w niej przebywali.

Najczęściej ukrywałem się w pomieszczeniu na strychu, do którego wejście było sprytnie zamaskowane i które mogło pomieścić około dwadzieścia osób. Kryjówka ta miała małe okienko, nasze jedyne źródło powietrza i światła, wychodzące na Ryneček. I właśnie przed tym okienkiem siedziałem na podłodze w poniedziałek 4-tego stycznia 1943 roku. W nocy doszły nas słuchy o zaplanowanej przez Niemców na następną noc akcji, a brzmiały one jeszcze groźniej niż zazwyczaj. Brygady robocze miały stawić się na porannym apelu wcześniej niż do tej pory, żydowskiej policji rozkazano szczelnie otoczyć szpital, publiczne kuchnie i tzw. Biuro Rady Żydowskiej, a w oknach wartowni hauptwachmajstra Ueberschera przez całą noc paliło się światło.

Moja mamusia ze łzami w oczach przytuliła mnie tego ranka, zgodnie z naszym codziennym rytuałem, a następnie razem z innymi matkami poszła do pracy.

Przed ukryciem się w bunkrze należało przede wszystkim skorzystać z toalety, gdyż jeśli ktoś musiał w wiadomym celu dojść do wiadra stojącego w głębi pomieszczenia, zwłaszcza wtedy, gdy w pobliżu słychać było wrzaski Niemców, już same spojrzenia współtowarzyszy niedoli mogły go uśmiercić. Po drugie, należało włożyć na siebie całą posiadaną odzież, by móc wytrzymać przenikliwe zimno panujące na pełnym przeciągów poddaszu.

Przez dłuższą chwilę, może przez godzinę, na Ryneczku panował spokój. A potem rozpętało się piekło. Ryczące megafony, hamujące z piskiem opon samochody... Wszystkim nakazano wyjść z budynków i ustawić się przed nimi w szeregu. Z ciężarówek stojących obok bramy wyskoczyli uzbrojeni Ukraińcy, niektórzy w maskach gazowych. Z wartowni wyszedł Ueberscher w towarzystwie dwóch szupowców i kilkunastu strażników werkszucu. Wkroczyli oni na teren getta i z pomocą żydowskiej policji rozpoczęli dzielenie ludzi, stojących w szeregu na zaśmieconych ulicach, na dwie poruszające się grupy - obie popychane w kierunku bramy Ryneczku. Przez głośniki wykrzykiwano rozkazy, by natychmiast wychodzić z domów, ostrzegając, że wszyscy znaleźni wewnątrz zostaną na miejscu rozstrzelani.

Gdy tylko Ukraińcy zaczęli wchodzić do budynków, rozległy się pierwsze wystrzały.

W pewnym momencie na Ryneček wjechał wojskowy samochód DKW, wysiadł z niego porucznik Rohn w ciepłym wojskowym płaszczu, błyszczących oficerkach i w towarzystwie swojego nieodłącznego adiutanta, wachmajstra Fritza, zwanego Lalką. Na środku Ryneczku przyłączył się do nich Ueberscher i pozostali Niemcy. Przyglądali się, jak Ukraińcy pędzili dużą grupę mężczyzn i kobiet, niektóre z małymi dziećmi, w kierunku ciężarówek. Ueberscher, krzycząc przez tubę, rozkazał wszystkim mężczyznom i kobietom pracującym na nocną zmianę w fabrykach Hasagu ustawić się na prawo od bramy.

Niewiarygodne, ale właśnie w tym momencie mój wujek Leon wjechał rowerem na Ryneček i odważnie podszedł do Ueberschera. Mimo swojej obszernej skórzanej kurtki wydał się niski, chudy i zmarznięty, ale nieustraszony, gdy coś mówiąc Ueberscherowi, wskazywał ręką w kierunku ludzi zgromadzonych przy ciężarówkach. W jakiś sposób udało mu się namówić Ueberschera, by razem z nim podszedł do tych skazanych na śmierć, gdzie głośno wywołał kilka nazwisk i z tłumu wystąpiło dwóch mężczyzn i jedna kobieta. Ueberscher zaprowadził ich do budynku wartowni i kazał wypuścić. Później dowiedziałem się, że wujek Leon przekonał Ueberschera, że te trzy uratowane osoby pracowały razem z nim wykonując zlecenia komendanta szupo, kapitana Degenhardta. W ten sposób wujek Leon uratował trzech członków swojej grupy oporu.

Ludzie zaczęli wdrapywać się na pierwszą ciężarówkę. Słychać było kolejne strzały dochodzące z getta. Ostatnia grupa przechodziła przez bramę idąc wzdłuż ogrodzenia

z kolczastego drutu, by dołączyć do tłumu skazańców znajdujących się już na odkrytych ciężarówkach.

I wtedy i wtedy z tej grupy wybiegła młoda kobieta, jeszcze dziewczyna, w obcisłym czarnym płaszczu, z rozwianymi jasnymi włosami rzuciła na zaśnieżoną ziemię swój plecak, a w ręku miała wielki rzeźnicki nóż. Biegła w kierunku porucznika Rohna. Jak na sygnał, spośród ludzi stanowiących nocną zmianę Hasagu wyskoczył młody mężczyzna, by się do niej przyłączyć i... o mój Boże ... w dłoni trzymał pistolet. Silny, piękny, walczący Żyd. W oka mgnieniu dobiegli do Rohna. Niemcy i Ukraińcy stanęli jak skamieniały, żaden z nich nie zdążył nawet unieść broni. Dziewczyna chwyciła Rohna za klapy płaszcza. Natomiast ten młody mężczyzna wycelował mu z bliska prosto w twarz.

Zapanowała niesamowita cisza. Wstrzymałem oddech. Nikt nie odważył się poruszyć ani Niemcy, ani Ukraińcy, ani Żydzi stojący przy bramie, ani ci na ciężarówce. I usłyszałem, co krzyknęła ta dziewczyna odważnie, rozpaczliwie, głośno: „Bracia i siostry walczcie! To tchórze! Nas jest wielu! Zabić ich! Walczcie, walczcie!”. Niewiarygodne, ale Rohn podniósł ręce do góry, to samo uczynił jego adiutant Lalka. Prerażony, potulny, patrząc z przerażeniem w wymierzony w niego pistolet, Rohn wykrztusił z siebie łamiącym się głosem: „Dzieci, nic wam się nie stanie, przysięgam. Nic wam się nie stanie.

Będziecie...”. Mijały sekundy, a może była to jedna bardzo długa minuta, gdy dały się słyszeć wokół odgłosy odbezpieczanej broni i dziesiątki karabinów zostało wycelowanych w tę dwójkę młodych ludzi. Porucznik Rohn zasłonił rękami twarz, gdy żydowski bojowiec pociągnął za spust pistoletu. A potem pociągał rozpaczliwie raz za razem. Broń się zacięła! W tym momencie wypaliło równocześnie kilkanaście karabinów. Wszystkie wymierzone były w tę dziewczynę i tego młodzieńca. I kolejna salwa, gdy leżeli już martwi u stóp Rohna. I wtedy Rohn, demonstrując swoją męskość, dobył z kabury swojego mausera i wystrzelił w oba ciała. I strzelał tak długo, aż opróżnił magazynek.

W ciągu kilku chwil dodatkowe posiłki niemieckie wjechały na Ryneček na transporterach i motocyklach. Dowództwo przejął oberleutnant Frankowski. Błyskawicznie i brutalnie załadowane ciężarówki opuściły Ryneček. Pozostali Żydzi zostali podzieleni na kilka grup męskich i jedną, mniejszą, kobiecą. Większość mężczyzn kilkuset - było z nocnych zmian w Hasagu. Zauważyłem wśród nich Mońka Daumana, którego młodszy brat Idek był moim przyjacielem.

Część mężczyzn została ustawiona w jednym szeregu, jak do egzekucji, pod ogrodzeniem z drutu kolczastego. Reszta mężczyzn i kobiet pozostała tam, gdzie stała. Dochodziło południe. Było bardzo zimno. Oberleutnant Frankowski i porucznik Rohn udali się do wartowni na obiad.

Po godzinie pojawili się ponownie, najedzeni i roześmiani. Frankowski, otoczony przez kilkunastu Niemców z karabinami i automatami, podszedł do Żydów stojących na baczność przed ogrodzeniem z kolczastego drutu i powiedział, że jako kara za to, co tu się dzisiaj wydarzyło, a nazwał to „Verbrechen und Frechheit” przestępstwo i bezczelność wszyscy powinni zostać rozstrzelani. Ale on będzie litościwy i oszczędzi życie większości każe zastrzelić tylko dwudziestu. I zaczął wskazywać co piątego mężczyznę. Gdy odliczył eins, zwei, drei, vier, fuenf, jego szpicruta wycelowała w Mońka. Ich spojrzenia na chwilę się spotkały i ... Frankowski przesunął szpicrutę na następnego mężczyznę.

Skazana na śmierć dwudziestka została wyprowadzona przez bramę i ustawiona pod sąsiednim budynkiem przed plutonem egzekucyjnym złożonym z Niemców i Ukraińców. Jeden z mężczyzn próbował uciekać. Zaczął biec i był już blisko rogu Koziej, gdy dosięgło go kilka kul. Zatoczył się i upadł martwy.

Chwilę później pozostałych 19 mężczyzn zostało rozstrzelanych.

Tego wieczoru, ślaniając się na nogach, wyszedłem z kryjówki, by przytulić się do mamusi i opowiedzieć jej o tym, co widziałem. Ktoś obok nas powiedział, że dwudziestu rozstrzelanych zostało pochowanych razem z tym młodzieńcem i tą dziewczyną,

a zalakowana butelka z opisem wydarzeń tego dnia została zakopana razem z nimi w zbiorowej mogile..

Dzień ten nazwano Krwawym Poniedziałkiem.



Stary dom na ul. Wilsona 34 odegrał w moim życiu ważną rolę. Dawno temu mieszkali tutaj Daumanowie i Wiśniccy. W getcie nie było bibliotek. Jednakże tu, na parterze, można było za kilka groszy wypożyczać książki. To właśnie dzięki tej wypożyczalni przeczytałem całego Karola Maya. Najpoczytniejszą książką było jednak „Przeminęło z wiatrem”. Gdy duże getto zostało zlikwidowane, tutaj na poddaszu był przejściowy dom, gdzie przebywały dzieci ukrywające się przedtem w Moebellager (magazynie mebli) czekając na przeszmugłowanie do małego getta. Po wielu tygodniach spędzonych na ciasnym strychu budynku położonego na terenie Moebellager, mieszkałem tutaj przez kilkanaście dni. Niektóre dzieci przebywały tu miesiącami. Niektóre tutaj zginęły.

Ta kryjówka wykorzystywana była także w celu czasowego przechowywania tych dzieci z małego getta, dla których udało się znaleźć schronienie u polskiej rodziny lub w klasztorze. To byli ci szczęśliwcy jakże im zazdrościliśmy którzy czekali tu na sygnał do przejścia na aryjską stronę.

Tutaj, na Wilsona 34, widziałem mojego brata Jerzyka po raz ostatni w życiu.

Jerzyk miał 18 lat, gdy został zabity przez hitlerowców. Dla mnie zawsze był gigantem: silny, przystojny i bardzo inteligentny. Obaj chodziliśmy do Hebrajskiego Gimnazjum, które zapamiętałem głównie jako miejsce Jego wielu działań i osiągnięć. Był wyróżniającym się uczniem; miał doskonałe wyniki, zwłaszcza w naukach humanistycznych: historii, literaturze i językach. Był urodzonym pisarzem i zdążył opublikować szereg opowiadań. Zdobył główną nagrodę w konkursie organizowanym przez redakcję ogólnokrajowego tygodnika dla młodzieży „Świat Przygód”. Jego nagrodzone opowiadanie ukazało się na łamach tego czasopisma latem 1939 roku, gdy Jerzyk miał 15 lat.

Bardzo sprawny i wysportowany, był kapitanem gimnazjalnej drużyny piłki nożnej. W szkolnym przedstawieniu teatralnym ukazującym grupę młodzieży żydowskiej wędrującej przez różne ważne miejsca współczesnego im świata, Jerzyk odgrywał lidera i przewodnika. Miał wybitne zdolności przywódcze i naturalną charyzmę.

Było rzeczą oczywistą, że w konfrontacji z nazistowskimi mordercami Jerzyk nie będzie cierpiał w milczeniu.

Wyjątkowo wysoki i silny jak na swoje 18 lat, przyłączył się do grupy ruchu oporu działającej na terenie Moebellager i ul. Garibaldięgo, dowodzonej przez Machela Birencwajga i Leona Silbersteina.

Wciąż zbyt mało wiemy o setkach żydowskich istnień (w tym także moim) uratowanych przez Birencwajga i Silbersteina podczas i po likwidacji getta w Częstochowie. A jeszcze mniej wiemy o dokonanych przez ich oddział odważnych aktach sabotażu.

W jednej z takich akcji powierzono Jerzykowi zadanie zdobycia kompletnego munduru niemieckiego oficera, łącznie z pistoletem. Wszystko, z właściwą sobie starannością, zaplanował i przygotował, korzystając przy realizacji swojego planu z pomocy atrakcyjnej kobiety z aryjskiej strony. Jerzyk dołożył wszelkich starań, by przeprowadzona przez niego akcja nie mogła w żaden sposób być skojarzona przez Niemców z gettem i przebywającą w nim ludnością żydowską. (Ta dominująca nad wszystkim troska o swoich żydowskich współtowarzyszy tragicznie zaważyła na ostatnich godzinach jego życia.) Tak, jak zaplanowano, akcja rozpoczęła się w Starym Parku u podnóża Jasnej Góry od pozornie bez trosk randki, na której hitlerowski superman planował kolejny podbój. Gdy już było po wszystkim, martwy uebermensch leżał pod parkową ławką,

a konspiracyjna grupa oporu dysponowała kompletnym mundurem oficera Wehrmachtu wraz z pistoletem w kaburze oraz ponadplanową szpicrutą.

Jesienią 1942 roku, w dniu najważniejszego żydowskiego święta Yom Kippur (Sądny Dzień) hitlerowscy oprawcy, z właściwym im cynizmem, rozpoczęli metodyczną likwidację częstochowskiego getta. W ciągu kilku dni deportowali do obozu śmierci w Treblince około 40.000 ludzi - dzieci, kobiet i mężczyzn. Wśród ofiar Wielkiej Deportacji był także mój ojciec Henryk.

Relacja pomiędzy moim tatą i moim bratem Jerzykiem była pięknym przykładem więzi ojca z synem. To właśnie mój tatuś rozbudził w Jerzyku zamiłowanie do nauk humanistycznych, do języka polskiego i języków obcych. To dzięki naszemu tacie Jerzyk przeczytał w oryginale „If” Kiplinga. Deportacja naszego ojca i jej tragiczny finał w obozie śmierci były druzgocącym wydarzeniem w życiu Jerzyka. Dowiedziałem się później od tych, którzy przeżyli, że nasz ojciec wziął udział w heroicznym powstaniu w Treblince, w wyniku którego obóz ten przestał istnieć. Jaka szkoda, że Jerzyk nigdy się o tym nie dowiedział! Celem życia Jerzyka stało się pomszczenie ukochanego taty. Do czasu likwidacji getta udział w ruchu oporu był dla Jerzyka sprawą honoru i godności, po likwidacji konfrontacja przybrała inną postać. To była zemsta, w czystej i prostej postaci; jej celem było zabicie niemieckiej bestii!

Po likwidacji getta czynny ruch oporu stał się prawie niemożliwy, gdyż ci Żydzi, którzy pozostali przy życiu, musieli przebywać na niewielkim, ściśle strzeżonym przez Niemców obszarze. W styczniu 1943 roku Jerzyk przyłączył się do niewielkiej grupy podobnie jak on myślących młodzieńców. Był wśród nich najmłodszy, miał 18 lat. Ich celem było przedostanie się na wschód i przyłączenie się do oddziału żydowskich partyzantów lub Armii Ludowej.

Nigdy nie zapomnę naszego ostatniego spotkania. Miało ono miejsce nocą, tuż przed wymarszem Jerzyka i jego współtowarzyszy z getta. Stał przede mną, taki wysoki, taki męski - mój brat! Powiedział mi wtedy, żebym zawsze pamiętał o tym, kim jestem, żebym nigdy nie zapomniał tego, co widziałem i żebym był dobrym synem dla naszej mamy. Uśmiechnął się i objął mnie. Jakże ja Go kochałem....

Tych sześciu dzielnych młodych ludzi przedzierało się na wschód przez kilka tygodni. Jednakże nie tylko Niemcy byli dla nich śmiertelnym niebezpieczeństwem. Ogromnym zagrożeniem byli także polscy antysemita.

Gdy w swoim marszu natknęli się na takie właśnie skrajnie reakcyjne elementy, Jerzyk i jego koledzy zostali przez nich zmuszeni do powrotu do getta w Częstochowie. Uzbrojeni i wyposażeni w granaty, utworzyli tymczasowy obóz w budynku przy ul. Wilsona 34, na skraju małego getta, z zamiarem ponownego wymarszu na wschód w pierwszym tygodniu kwietnia wraz z nadejściem wiosny.

Jak wiecie, niektóre żydowskie dzieci przeżyły wojnę po stronie aryjskiej, jako chrześcijanie. Jednym z tych, który nie przeżył, był Mietek, mój kolega z klasy, który miał zaledwie 12 lat w ten zimny marcowy dzień 1943 roku, gdy zatrzymała go polska policja i przekazała w ręce gestapo. Mietek, w swojej dziecięcej naiwności i rozpacz, sądził, że uratuje własne życie, gdy opowie Niemcom to, co z pewnością chcieliby wiedzieć. W jakiś sposób dowiedział się o partyzantach ukrywających się przy ul. Wilsona 34 i teraz opowiadał o tym na gestapo...

W przeciągu godziny oddziały SS i Wehrmachtu otoczyły budynek szczelnym kordonem. Przez megafon nakazano żydowskim bojowcom, by natychmiast złożyli broń. Łatwiej byłoby walczyć, zabić wielu Niemców i zginąć śmiercią żołnierza od kul i granatów, niż się poddać. Ale tych sześciu dzielnych młodych ludzi wiedziało coś, o czym nie wiedział mały Mietek; że w tym samym domu mieściła się kryjówka żydowskich dzieci.

Nie dowiem się nigdy, czy była to decyzja mojego brata czy któregoś z jego współtowarzyszy, by wyjść z tego budynku z rękami podniesionymi do góry, lecz z głowami uniesionymi wysoko. Czy był to przejaw zbiorowej mądrości tych sześciu

młodzieńców, który nakazał im odstąpić od zemsty i próbować ratować życie żydowskich dzieci?

Wiem tylko, że wykazali się najwyższym stopniem odwagi. Po trwających całą noc torturach żaden z nich nie wyjawiał swojej prawdziwej tożsamości i żadnej informacji na temat ruchu oporu.

Cała szóstka, razem z moim bratem Jerzykiem, została rozstrzelana następnego ranka, 19 marca 1943 roku na Cmentarzu Żydowskim w Częstochowie.



Byłem Polakiem wyznania mojżeszowego. Aż nadeszło brutalne przebudzenie. Najpierw, podczas wojny, gdy Niemcy uznali Żydów za podludzi, a nasi polscy współobywatele, ze szlachetnymi wyjątkami, zachowywali się biernie lub gorzej niż biernie. Okropności trwały nadal: rok 1946 Kielce, różne akty przemocy i gwałtu, a potem rok 1968 - ostatni akt dramatu...

Polska straciła swoich Żydów.

Miałem szczęście, że wyemigrowałem do USA, gdzie mogłem przekonać się, jak miliony przede mną i po mnie, czym jest Ameryka i jakie stwarza możliwości. Młody sierota bez grosza, ale z wolą wybicia się, tylko w Ameryce może uzyskać doskonałe wykształcenie, prowadzić dochodowe przedsiębiorstwa, zdobyć majątek i zapewnić swojej rodzinie godne miejsca w społeczeństwie. Jednakże moje korzenie są tutaj. Jestem Żydem Częstochowianinem. Życzę mojemu miastu jak najlepiej. Niech się rozwija i rozkwita!

Wyrażam wdzięczność tym wszystkim wspaniałym ludziom, dzięki którym nasza idea przemieniła się w rzeczywistość - zaczynając od rektora Berdowskiego, dr Jerzego Mizgalskiego i prezydenta miasta Tadeusza Wrony. Wysoko cenię wczesne propozycje uczestniczenia wyrażone przez ambasadora Christophera Hilla i ambasadora Shewacha Weissa oraz rabina Michaela Schudricha i rabina Marka Kiela, a także redaktora Konstantego Geberta i prof. Feliksa Tycha, którzy wzniesli nasz pierwotny skromny pomysł do obecnego poziomu. Jestem wdzięczny Elżbiecie Mundlak - Asch, Elżbiecie Surmie-Jończyk, Januszowi Jadczykowi, Janowi Jagielskiemu, Ireneuszowi Kozarze, dr Jarosławowi Kweclichowi, prof. Tadeuszowi Paneckiemu, Markowi Shrabermanowi, dr Dove B. Schmorakowi, a szczególnie drogiemu Piotrowi Stasiakowi za ich niestrudzoną pracę i niezliczone godziny pracy.

Mój kuzyn Alan Silberstein i ja jesteśmy dumni, że mogliśmy być częścią tego szczególnego zespołu.

Ten album stanowi odzwierciedlenie naszej wystawy „Żydzi Częstochowianie”. Ufam, iż wszyscy, którzy ją obejrzą, i starsi i młodszy, a zwłaszcza młodszy, uronią łzę za tę niegdyś pełną życia społeczność, obecnie zredukowaną do małej garstki. Zapamiętajmy słowa Jana Karskiego: „Dla nas Polaków to była wojna i okupacja, dla Żydów to był koniec świata”.

Kiedy będzie można powiedzieć, że nasz zamysł się powiódł? Wybitny filozof napisał kiedyś, że ci, którzy nie pamiętają historii, są skazani na jej powtórzenie. Otóż mam nadzieję, że młodzież, która odwiedzi naszą wystawę, zapamięta dzieje Żydów Częstochowian.

Sigmund A. Rolat